

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 „ — 40 „
1/4 „ — 20 „
1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

* * *

Ostatni numer „Przeglądu Wileńskiego” z dn. 22 czerwca został znów skonfiskowany za artykuł wstępny p. t. „Dwa zamachy”. Zmuszeni byliśmy przeto rozesłać naszym prenumeratorom № 11-a z białą plamą zamiast artykułu wstępnego. Nie potrzebujemy nadmieniać, że tego rodzaju nieprzewidziane przeszkody utrudniają nam niezmiernie naszą pracę publicystyczną, nie mówiąc już o stratach materialnych. Czytelnicy zechcą łaskawie uwzględnić ciężką sytuację pisma i wybaczyć wynikające stąd braki w wydawnictwie.

Cały szereg doniosłych wydarzeń w ciągu ostatniego miesiąca, jak to wizyta pułk. Prystora w Kownie, obrady w Kownie przedstawicieli Litwy, Łotwy i Estonji nad utworzeniem Związku Bałtyckiego, wreszcie projekt francuski paktu wschodniego wymagają bezstronnego oświetlenia, jednakże powstrzymujemy się na razie od oceny tych wypadków, ponieważ nie rozporządzamy materiałem źródłowym, operowanie się domysłami mogłoby wywołać zarzut rozsiewania fałszywych wiadomości, czego nie toleruje kodeks karny. Wolimy więc zaczekać, aż sytuacja się wyjaśni i fakty potwierdzą nasze przypuszczenie, iż kwestja uregulowania stosunków polskolitevskich w obecnej swej fazie winna być rozpatrywana w szerszej o wiele płaszczyźnie niż dotychczas. Pozostaje ona w ścisłej zależności od dającego się od pewnego czasu zauważyć przegrupowywania sił na arenie międzynarodowej.

Pakt o nieagresji między Polską a Niemcami z jednej strony i zbliżenie francusko-sowieckie z drugiej — stanowią wyraźne drogowskazy, pozwalające orjentować się w nowej konjunkturze. *Sapienti sat.*

Nowi opiekunowie.

W końcu ubiegłego roku zalegalizowane zostało w Warszawie stowarzyszenie pod nazwą: „Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich”. O celach tego stowarzyszenia mówi jego statut. Więć dowiadujemy się ze statutu, że towarzystwo zamierza podejmować i prowadzić wszechstronną działalność „dla utrzymania i rozwoju polskiego stanu kulturalnego i gospodarczego” na obszarach Ziem Wschodnich. Już z tej statutowej formułki wyciera bardziej zrozumiałe i popularne wśród rozmaitych działaczy hasło — wzmocnienia na „Kresach” polskiego stanu posiadania. Do tego celu towarzystwo to zmierzać ma rozmaitemi drogami, szczegółowo wymienionymi w statucie; szczególny zaś nacisk kładzie na krzewienie oświaty, przez wydawanie i rozpowszechnianie pism, książek, ulotek, zakładanie bibliotek, czytelnicy, świetlic, ochronek, burs, szkół i t. p.; w szczególności zaś organizować ma młodzież wiejską. Lecz i zagadnienia gospodarcze, jak widać ze statutu, te nie są obce towarzystwu, gdyż ma ono inicjować i popierać placówki gospodarcze, ze szczególnym uwzględnieniem spółdzielni.

Na podstawie jednak tylko statutu nie ustalilibyśmy sobie poglądu na istotne intencje tego towarzystwa. Statut ten zaopatrzone jest w swego rodzaju komentarz, który pod nazwą instrukcji wydrukowany jest obok statutu. Otóż z tej instrukcji dowiadujemy się już bardziej dokładnie o co tu chodzi. Dowiadujemy się więc, że „społeczeństwo na kresach wschodnich nie jest dostatecznie powiązane kulturalnie i organizacyjnie z resztą Polski i nie czuje zaplecza, jakim powinny być w stosunku do nich województwa centralne”. To już nas uświadamia, że towarzystwu chodzi o jeszcze mocniejsze zespolenie kresów wschodnich z rdzenną Polską, jak się mówi popularnie — z „Macierzą”.

Jako jedno z głównych zadań stawia sobie T w o Rozw. Ziem Wsch. „szerzenie kultury polskiej, obronę i podnoszenie kultury regionalnej, organizowanie pracy społecznej, wychowawczej, kulturalnej i naukowej”. Jednak jest to droga do zrealizowania głównego celu, który polega na tem, że T-w o

R. Z. W. „musi przyczynić się do skrzeptenia polskości na kresach, musi usunąć wahania, wątpliwości jednostek i utrzymać ich przy polskości”. Z tego staje się jasnym, że T-wo R. Z. W. nie są obce tak zw. „narodowe” cele — w pojęciu endeckim.

O stosunku towarzystwa do innych narodowości, zamieszkujących „kresy”, poucza nas ustęp tejże instrukcji, który zapowiada, że, aczkolwiek towarzystwo nie będzie zwalczało innych narodowości, to jednak wytyczną jego będzie „nie stracić na kresach dla polskości ani jednego człowieka, ani jednej placówki gospodarczej i kulturalnej”. Nie mówi się tu o placówkach gospodarczych wyłącznie polskich; przez to należy rozumieć, że wszystkie organizacje gospodarcze i kulturalne, prowadzone obecnie przeważnie na „Kresach” przez Polaków — jakkolwiek na wsi skupiają i organizują ludność białoruską, litewską i ukraińską — mają być pilnie przez T-wo R. Z. W. strzeżone przed kulturalnemi i językowemi wpływami tych narodowości.

Wiadomem jest, że wieś nasza została objęta siecią polskich organizacji kulturalno-oświatowych i spółdzielczych. W tych organizacjach chłopci białoruscy i litewscy siłą rzeczy zmuszeni są korzystać z dobrodziejstw organizacyjnych, kulturalnych i gospodarczych, przez pryzmat polskiej kultury i polskiej mowy. Kierującą rolę w tych organizacjach pełni jedynie polska inteligencja, z wyłączeniem kulturalnego wpływu inteligencji zarówno białoruskiej, jak i litewskiej. Wszelkie próby wyodrębnienia się kulturalnego i organizacyjnego są twardą ręką poskramiane. Z zasad wypowiedzianych przez statut i instrukcję T-wo R. Z. W. wynika jasno, że staje ono wyraźnie na gruncie utrzymania ekskluzywizmu narodowościowego w organizacjach kulturalnych i gospodarczych i, że będzie przeciwstawiać się wszelkim próbom emancypacji, czynionym przez inne narodowości u nas zamieszkałe. Jest to przeciwstawienie się zasadniczym dążeniom narodowym Białorusinów i Litwinów.

Już pobieżne zaznajomienie się z programem T-wo R. Z. W. dostatecznie uświadamia nas o tem, z jakiego rodzaju nową organizacją mamy do czynienia na naszych „Kresach”. Jasnym jest, że jest

to organizacja, która pod płaszczykiem hasel gospodarczych i kulturalnych ma zamiar prowadzić u nas z jednej strony akcję unifikacyjną, a z drugiej — polonizacyjną. Już sam, zacytowany wyżej, ustęp z instrukcji, że towarzystwo to musi *usunąć wahania i wątpliwości jednostek i utrzymać je przy polskości* — wystarczy za program narodowościowy w stosunku do Białorusinów, określających się, jako „tutejsi”. To są właśnie ci „wahający się” narodowo. Chodzi tu o setki tysięcy chłopów białoruskich, zamieszkujących nasz kraj. Naprawdę ironicznie brzmią słowa omawianej instrukcji, że „wytyczną T-wo będzie nie stracić dla polskości na kresach ani jednego człowieka”. Wszak nie o „wynarodawianych” Polaków tu chodzi, a o ten nieuświadomiony narodowo element wiejski, posługujący się jeszcze mową białoruską, jako macierzystą. T-wo Rozw. Ziem Wsch. zakreśla sobie zupełnie wyraźny program, który nie wahamy się nazwać programem polonizowania nieuświadomionych narodowo chłopów tutejszych.

Ale jest to wszystko w programie, na papierze. Jakie rezultaty osiągnie działalność T-wo R. Z. W. u nas w praktyce — nic jeszcze nie można powiedzieć, gdyż odnotować można tylko powstanie „kół”. Wydaje się jednak, że nie o efekt praktycznej działalności tego towarzystwa chodzić jedynie będzie. Prawdopodobnie rola jego sprowadzi się do czegoś innego. Można spodziewać się, że T-wo R. Z. W. będzie nadawało „kurs” miejscowej administracji. O ten kurs, ujednostajniony, planowy i, zdaje się, miarodajny w dziedzinie narodowo-społecznej będzie tu chodziło. Administracja, skupiająca w swych rękach wszystkie nici organizacyjno-społeczne, nie miała dotychczas takiej patronackiej instancji, któraby w sprawach narodowo-społecznych była miarodajnym drogowskazem. Kto wie, czy T-wo R. Z. W. nie stanie się taką opiekuńczo-patronacką instancją w wielu sprawach, dotyczących kursu na „Kresach”.

Nie byle kto bowiem prowadzi to towarzystwo. Na czele stanął sam b. premier i wice-prezes B.B.W.R. p. Aleksander Prystor, a w gronie członków rady jest p. Jan Piłsudski. To są nazwiska firmowe. Obok nich spotykamy nazwiska bardziej skromne, lecz

Skarby królowej Heleny.

(D. c.)

Helena będąc jakby między młotem a kowadłem, dusiła się poprostu wśród zakłamania i fałszu. Bała się postępować wbrew woli swego ojca, przed którym drżała od dzieciństwa. Z drugiej strony rozum a może i serce skłaniały młodą kobietę do męża, króla Aleksandra, który był dla niej tak dobry i nie wahał się zaspakajać nawet wygórowanych żądań. Stąd niema wątpliwości, że Helena nieraz przechodziła strasznie ciężką walkę wewnętrzną, gdy na rozkaz ojca musiała coś uczynić wbrew sercu, sumieniu i powinności, a było to ilekroć kazano jej wystąpić przeciw dobremu mężowi i przybranej ojczyźnie. Oplýwała wszak przy Aleksandrze we wszystko, a z domu ojca nie otrzymała nic zgoła (ani posagu, ani wyprawy), przy boku męża zaś miała bogate a liczne szaty złotem haftowane, futra drogocenne, cudnie tkane szpalery, całe sztuki złotogłowia i materyj tureckich, mnóstwo i wysokiej war-

tości klejnotów oraz moc wszelkiego mienia. Terem moskiewski na Kremlu nie wychował Heleny do życia samodzielnego, ani też nie przygotował do roli żony monarchy dużego państwa na zachodzie. Cóż tedy miała uczynić w strasznej wytworzonej dookoła niej sytuacji? Nieraz w takiej rozterce żaliła się więc po kobiecemu, z wielką nieśmiałością, pisząc ojcu, że zanadto wierzy szpiegom, bo jej tu nikt do zmiany wiary nie zmusza, ani ludu ruskiego tutaj nie gnębi.

Na taki list serdeczny i z wielkim umiarem skreślony przez córkę, odpowiedział Iwan jak zwykle ostro, zarzucając Helenie kłamstwa: *„Tyś córko w swoim liście wiele i niestosownie do nas pisała, — nie było tobie i zρέcznie pisać takie rzeczy. Nam pisałaś, że niby tobie w wyznawaniu greckiego zakonu od swojego męża nie było żadnego przymusu. Nieprawda to jest, bo, córko, nam dobrze wiadomo jest, że mąż twój do ciebie o to niejednego posyłał „odszczepieńca” od greckiego zakonu, smoleńskiego władę, ale jeszcze biskupa smoleńskiego i mnichów bernardynów, żebyś ty przystąpiła do rzymskiego zakonu; — a i nie do ciebie jednej posyłał, a do Rusi całej posyłał, która się trzyma greckiego zakonu, że-*

więcej mówiące nam o nastawieniu towarzystwa. Wymienić więc wypadnie, że w gronie władz T-wa R. Z. W. znajduje się dyrektor Instytutu Badań Narodowościowych, p. Stanisław Paprocki, p. Józef Małowieski, dobrze Wilno znany działacz jeszcze ze Straży Kresowej, następnie wyższy urzędnik Kuratorium Szkolnego w Wilnie, no i p. Bolesław Wścieklica. Jeżeli nazwiska tych panów zestawić z nazwiskami dygnitarzy i urzędników stanowiących zespół władz towarzystwa — to łatwo jest przewidzieć, kto będzie w niem rej wodzić. Pomimowoli nasuwa się domysł, czy czasem nie mamy do czynienia z odrodzoną i przemianowaną „Strażą Kresową”. Wszystko to bowiem bardzo przypomina „Straż Kresową” — i program i ludzie.

Ze strony polskiej „Macierzy” doznają „Kresy” coraz to większej uwagi i zainteresowania. „Frontem do Ziemi Wschodnich” — jest hasłem coraz bardziej popularyzowanym.

A tymczasem w „Kurjerze Wileńskim”, z dnia 3-go lipca b. r., czytamy notatkę pod tytułem: „Sprawa osadnictwa na Wileńszczyźnie” — następującej treści. „Odnośnie władze projektują powołanie specjalnej instytucji, która zajęłaby się zagadnieniem organizacji osadnictwa na Wileńszczyźnie. Instytucja taka miałaby przede wszystkim opiekę instrukcyjną nad obecnym osadnictwem, jak również inicjatywę w związku ze znacznym zapasem ziemi i planem ministra rolnictwa”.

Czy zamiary osadnicze wynikają z programu Towarzystwa Rozwoju Ziemi Wschodnich? O tem narazie trudno sądzić. W każdym razie — „timeo Danaos et dona ferentes...” Rek.

Lekkomyślnie, czy rozmyślnie?

O ile informacje prasy polskiej o Republice Litewskiej w ostatnich czasach zyskały ogromnie pod względem rzeczowości i bezstronności, o tyle oświetlenie życia litewskiego w granicach Rzeczypospolitej Polskiej w dalszym ciągu odznacza się tendencyjnością, a nieraz rozmija się wprost z prawdą i rzeczywistością.

by nawrócić wszystkich na zakon rzymski”. I cóż miała czynić Helena z człowiekiem tak uprzedzonym i tak szalenie upartym w swem uprzedzeniu? Zaprawdę uznawał jedynie to, co mu dla jego planów potrzebnem było.

Ten okropny stan ciągłego naprężenia, prawie napół wojenny, trwał lata całe, aż do śmierci Iwana III, w r. 1503.

Objęcie rządów przez syna i następcę tronu Wasylą, rodzzonego brata Heleny, mogło zapowiadać pewną poprawę stosunków, jednak rychło zawiodło. Wasyl Iwanowicz trzymał się ślepo polityki swego ojca względem Litwy i Polski oraz katolicyzmu. Na siostrę królową Helenę wpływał nieustannie, by ani na włos nie odstępowała od prawosławia i pousuwała z dworu swego panie katolickie, otoczyła się natomiast prawosławnymi, bo co prawda nie brakło w Litwie możnych rodów greckiej wiary. I pod tym względem Wasyl dopiął tego, czego nie wskórał jego ojciec. Z czasem doszło do tego, że cały dwór Heleny składał się z Moskwinów i Moskiewek, chociaż żony bojarów litewskich też nie stroniły od Heleny. Żyjąc wśród tak nienawistnego Litwie i Pol-

Zdawałoby się, że powinno być odwrotnie. Brak normalnych stosunków sąsiedzkich z Litwą Niepodległą może usprawiedliwić nieściśłość relacji prasy warszawskiej i krakowskiej o stosunkach i wypadkach po tamtej stronie „linji administracyjnej”, natomiast nic, prócz niedbalstwa i złej woli, nie tłumaczy kłamliwych wzmianek i artykułów o Litwinach w Wileńszczyźnie. Wogóle z reguły żywioł litewski w państwie polskim traktowany jest jako *quantité negligible* i niechętnie się wspomina o jego istnieniu. Jeżeli zaś kiedy zdarzy się któremuś z pism warszawskich lub kurjerkowi krakowskiemu wykroczyć przeciwko tej taktyce ignorowania elementu litewskiego w naszym kraju, to można być pewnym, że będą to brednie, zabarwione niechęcią i uprzedzeniem.

Gdy to czynią organy nacjonalistyczne, to trudno się temu dziwić, wszak jest to ich *métier*. Gorzej, jeżeli taką metodę stosują pisma, pretendujące nie bez podstawy do roli półoficjalnej, a więc, zdawałoby się, poczuwające się do większej odpowiedzialności i obowiązane postępować bardziej oględnie.

A właśnie „Gazeta Polska” zamieszczając w № 185 z dn. 6 b. m. korespondencję p. Wandy Pełczyńskiej p. t. „Walka z polskością w Polsce” prześcignęła pod względem lituanofobji najmniej wybredne w wyborze środków brukowe świstki endeckie. W całej korespondencji niema bodaj ani jednego prawdziwego faktu z wyjątkiem chyba opisu nagrobka Aleksandra Szpitznagla na cmentarzu w Cejkiniach.

Pomijam ogólnikowe zarzuty korespondentki pod adresem miejscowych działaczy litewskich, którzy wszyscy bez wyjątku, zdaniem korespondentki, są działaczami politycznymi, inspirowanymi z Kowna przez „Związek Wyzwolenia Wilna” i uprawiają agitację antypaństwową. Jest to charakterystyka, której słuszność lub bezpodstawność mogą stwierdzić jedynie organy bezpieczeństwa. Widocznie p. Pełczyńska posiada jakieś dane poufne na poparcie swego twierdzenia, bo skądżeby pochodziła ta pewność, z jaką formuluje swe oskarżenie?

Tylko że korespondentka zalicza do kategorii „działaczy” wszystkich księży Litwinów, nie wyłącza-

sce otoczenia, traciła Helena swą pierwotną przychylność do obu narodów, oziębiała się w swych uczuciach do nowego środowiska i coraz bardziej ulegała wpływom swego brata Wasyla.

Uwydatniło się to zwłaszcza podczas ciężkiej choroby Aleksandra w Wilnie, gdy przezorna Helena przypomniała sobie napomnienia ojcowskie, by gromadziła mienie i skarby na wypadek owdowienia. Poczęła tedy gromadzić wszystko, co kosztowniejsze i jeszcze za życia króla Aleksandra kilka dużych skrzyń zdeponowała u bernardynów w Wilnie, mimo że w pierwszej chwili zakonnicy, dla względów tak zasadniczych (reguła), jak praktycznych (kłopotliwa odpowiedzialność), nie chcieli przyjąć depozytu, i trzeba było dopiero długich przedstawień i powoływania się na wiedzę i wolę Aleksandra, osobliwego dobrodzieja całego zakonu bernardyńskiego, by gwardjan zechciał przyjąć depozyt pod swą czujną straż.

W r. 1506 umiera król Aleksander w Wilnie, gdzie najchętniej zwykle przebywał, i tu został pochowany w grobowcu katedralnym. W myśl unji horodelskiej, wybrano na w. księcia lit. brata zmar-

jąc nawet Bogu ducha winnych poczciwych i sędziwych proboszczów, których wymienia z nazwiska, a którzy dostatecznie znani są ze swej apolityczności, niektórzy zaś nawet z obojętności na sprawy społeczne. I to podrywa zaufanie do wywodów p. Pełczyńskiej. Szafuje ona widocznie zarzutami, opartymi nie na danych źródłowych, lecz na plotkach i dowolnych przypuszczeniach.

W tem mniemaniu utwierdza mię skłonność korespondentki do poczytywania każdego wydarzenia w życiu kościelnem ludności litewskiej za zamaskowaną celami religijnymi polityczną antypaństwową demonstrację.

Ks. Krzysztopanis, proboszcz w Hoduciszkach zainicjował w d. 13 maja jakąś procesję do pobliskiej wioski celem poświęcenia krzyża przydrożnego, albo ks. Gumbaragis, proboszcz mielegiański zorganizował pielgrzymkę ze wsi okolicznych na odpust do Twerecza w d. 13 czerwca — w interpretacji korespondentki obie te uroczystości kościelne nabrały cech „manifestacji szowinistyczno-politycznych”. Żadnych dowodów p. Pełczyńska nie przytacza — cały jej akt oskarżenia składa się z gołosłownych twierdzeń i domysłów, jeżeli zaś wymienia fakty, przeinacza je świadomie lub może nieświadomie polegając na niesumiennych informatorach.

Wspomina p. Pełczyńska np. o krzywdzie, jaka się dzieje ludności polskiej w parafjach mielegiańskiej i hoduciskiej, rzekomo pozbawionej kazań i śpiewów kościelnych w języku polskim, gdy przed wojną nabożeństwo dodatkowe w tych parafjach odbywało się wyłącznie po polsku. Tymczasem jest właśnie odwrotnie. Przed wojną w kościołach wspomnianych parafij panował wyłącznie język litewski, dopiero za rządów arcybiskupa Jałbrzykowskiego został wprowadzony tam język polski.

Albo czytamy w korespondencji utyskiwania na litwinizowanie nazwisk polskich w metrykach przez dodawanie do nazwiska końcówek „is” lub „as”. P. Pełczyńska najwidoczniej jest przekonana, że takie nazwiska jak Gojdz, Żemojć, Kielmuć są czysto polskie, a nie wie tego, że są one przeróbkami, dokonanymi już dawniej lub dokonywanymi obecnie z nazwisk Gajdis, Żamejtis, Kelmūtis. Taką

samą wartość rzeczową posiadają i wszystkie inne, przytoczone w korespondencji zarzuty co do antypolskiej działalności księży Litwinów.

Nie sposób punkt po punkcie zbijać wszystkie fałsze i nonsensy, zawarte w korespondencji. Jest zupełnie widocznem, że jej autorka nie orientuje się całkiem w stosunkach miejscowych i powtarza — być może nawet z dobrą wiarą — to, co zasłyszała w rozmaitych środowiskach, usposobionych nieżyczliwie względem Litwinów. A tych u nas nie brak zarówno w Wilnie, jak na prowincji. Winą p. Pełczyńskiej jest to, że nie pofatygowała się sprawdzić jednostronnych informacji i nie zadała sobie trudu „skrupulatnego i uczciwego przemyślenia” zagadnienia litewskiego, do czego wzywa na końcu czynnik miarodajne w Polsce. Zrozumiałaby wówczas, że dążenia narodowe litewskie nie potrzebują być inspirowane z Kowna, że datują się one jeszcze z czasów przedwojennych i są naturalną konsekwencją istnienia ludności litewskiej po tej stronie „linji administracyjnej”.

Może dopomoże w tem zarówno jej, jak redakcji półoficjalnej „Gazety Polskiej” grupa wileńska Bloku Bezpartyjnego, która, podobno, wyłoniła specjalną komisję, mającą zająć się zbadaniem położenia i potrzeb ludności litewskiej, oraz opracowaniem wytycznych dla polityki względem niej rządu i administracji.

Oby tylko i ta komisja nie poprzestała na jednostronnych informatorach... K. W.

Ofenzywa rosyjska.

(Z powodu Zjazdu Rosyjskiego w Wilnie).

Ci, co się uważają za Rosjan w naszym kraju, są to przede wszystkim potomkowie wychodźców z białoruskiej wsi prawosławnej. Przodkowie ich a nieraz i oni sami rosyjskość swoją zaczerpnęli z rosyjskich szkół, urzędów, gdzie pracowali jako urzędnicy, oraz z Cerkwi prawosławnej, która była najsilniejszym czynnikiem rusyfikacji Białorusinów.

łego Zygmunta I, który wkrótce obwołany też został królem polskim. Jedną z pierwszych jego królewskich czynności było hojne a bogate zaopatrzenie pozostałej wdowy królewskiej. Zastosowano się również do jej życzenia, iż stałą siedzibę mieć będzie zdala od Krakowa i nawet Wilna, natomiast w pobliżu ukochanych granic moskiewskich. Żądanie to musiało zdawać się nieco podejrzanem, bo wyglądało wprost na chętkę łatwego a niekontrolowanego znoszenia się z carem Wasylem i Moskwą, jednak rodzina jagiellońska zgodziła się na to. Król Zygmunt I przywilejem z 4.11.1507 ubezpieczył przyszłość swej bratowej, nadając jej w dożywocie zamek Bielsk, wraz z dwoma miastami Sużajem i Briańskiem, oraz włościami okolicznymi i wszystkimi stąd dochodami. *I so wsimi bojary i służbami putnymi, i ludmi tiahłymi, i danniki bielskieho powiata, i z ich wsimi ziemiemi, i z dańmi broszowymi, i miedowymi, i bobrowymi, i kunicynymi, i z kopszczynami, i z mytnymi pieniążmi, i z czynszy.* Z nadania tego wyłączył król jedynie niezbyt znaczny dochód z komory wojskowej w Bielsku, przeznaczony na potrzeby W. Ks. Lit. Ponadto Zygmunt

pozostawił Helenie nadal w charakterze dożywocia wiele królewskich ziem, które w b. dogodnych warunkach trzymane, przynosiły jej wysokie zyski.

Zygmunt I chciał tą drogą zapewnić sobie spokój i przychylność cara Wasyla.

Zmniejszywszy za radą brata Wasyla swój dwór, Helena zaczęła tem skrzętniej gromadzić kapitały. Dla kogo? nikt nie wiedział. Owdowiała *bezdzietną*, co ogromnie zwiększało jej samotność duchową.

Tak minęło lat parę. Królowa wdowa żyła na swym bielskim zamku w zupełnem odosobnieniu. Odwiedzających ją wielmożów z Litwy, Rusi lub Polski przyjmowała nader rzadko i wyraźnie niechętnie, więc rychło odsunęli się od niej wszyscy. Tylko księżna Zasławska, Litwinka, również dyzunitka i także Rurykowiczówna, a więc krewna Heleny, pozostała przy królowej wdowie. Poza tem, zgodnie już ze swą tradycją, cały jej dwór bez wyjątku składał się z rodowitych Moskwiczinów.

Dzięki temu moskiewskiemu otoczeniu swemu, Helena, zawsze jednostronnie i podstępnie przez swych zauszników informowana, zmieniła swe pier-

O pochodzeniu tych Rosjan najlepiej świadczy brzmienie ich nazwisk, brzmienie pośród stałych mieszkańców rdzennej Rosji nie spotykane całkiem.

Nie można jednak powiedzieć, że niema na przykład w Wilnie stuprocentowych Rosjan. Są to resztki elementu napływowego ongiś ze wschodu, najbardziej dziś widoczne w postaci duchownych prawosławnych, i wreszcie znikoma garstka uciekinierów ze Związku Sowieckiego.

Najbardziej cementującym społeczeństwo rosyjskie czynnikiem jest niewątpliwie Cerkiew prawosławna oraz dość wysoki i mniej więcej równomierny poziom kulturalny tego społeczeństwa. Ułatwia to wspólne porozumienie się i obronę interesów narodowych. Mimo wszystko, do lat ostatnich w pewnym odłamie społeczeństwa rosyjskiego poczucie odrębności narodowej ujawniało się dość słabo. Bardzo wielu uważających się przedtem za Rosjan, po wojnie światowej zgłosiło swój akces do polskości. Ten nieoczekiwany proces polonizacji trwa do dziś dnia i stanowi dla mniejszości rosyjskiej niebezpieczeństwo całkowitego wynarodowienia.

Ostatnimi jednak czasy dają się zaobserwować w społeczeństwie rosyjskim wzrost uczuć narodowych rosyjskich i próby konsolidacji narodowej. Przyczyniła się do tego zmiana w stosunku rządów polskich do mniejszości rosyjskiej. Wejście dwóch Rosjan z Wilna po wyborach 1930 roku do izb ustawodawczych wzmocniło nadzieje Rosjan na ich zrównanie prawne z innymi mniejszościami narodowymi w Polsce i zachęciło do organizowania rosyjskiego życia społecznego. Dla ujednostajnienia działalności istniejące dość liczne organizacje rosyjskie połączyły się przed trzema laty w jeden wspólny związek.

Charakterystycznym jest, że Rosjanie w granicach państwa polskiego w przeciwieństwie do innych mniejszości, nie wytworzyli żadnej opozycyjnej do rządów polskich grupy. Wszelkie wystąpienia Rosjan zawsze cechowała bezwzględna lojalność, posunięta nieraz do niesmacznej przesady. Rozumiejąc jednak, że rozszarpana po miastach inteligencja rosyjska, pozbawiona przyływu nowych sił z „ludu”, z masy wiejskiej, nie ma przed sobą przyszłości i skazana

jest na zagładę, sfery kierownicze społeczeństwa rosyjskiego uznały za konieczne wzmocnienie jego składu przez rozciągnięcie wpływów na wsi, szczególnie tam, gdzie narodowa świadomość białoruska lub ukraińska nie zapanowała dostatecznie. Frontem do wsi — oto obecne hasło Rosjan, zamieszkujących ziemie białoruskie i ukraińskie.

Temu dążeniu dał wyraz Zjazd Rosyjskich Organizacji Mniejszościowych, który odbył się w Wilnie w ostatnich dniach ubiegłego i w pierwszych dniach bieżącego miesiąca. Przebieg prac Zjazdu pod tym względem zasługuje na pilną uwagę.

Rozpoczęło się od wysłania telegramów powitalnych poszczególnym ministrom i od uczczenia przez powstanie pamięci Hołówki i Pierackiego. O ile rezolucje Zjazdu zredagowane są w tonie umiarkowanym, o tyle wystąpienia poszczególnych mówców, sądząc z obszernych sprawozdań prasy rosyjskiej, miały charakter zdecydowanie agresywny.

Sprawozdawca miejscowego dziennika rosyjskiego „Nasze Wriemia” już w pierwszych dniach Zjazdu stwierdza, że jedną z zasadniczych potrzeb mniejszości rosyjskiej jest przeniknięcie rosyjskiej idei mniejszościowej „w głąb rosyjskich mas ludowych”. Najwidoczniej tu jest mowa o wsi rosyjskiej, której u nas niema. Mocno również podejrzaną była obrona ze strony zjazdowiczów języka cerkiewno-słowiańskiego z powodu prób tłumaczeń tekstów liturgicznych na języki inne. Ta walka o język cerkiewno-słowiański, jako symbol jedności Cerkwi, jakże bardzo przypomina tezę o jedynej i niepodzielnej Rosji.

Bardziej otwarcie przemawiali delegaci z prowincji. Delegat z Pińska między innymi stwierdził, że w masach (zawsze te masy!) daje się zauważyć odchylenie od „tutejszości” na rzecz rosyjskości, poczem radził założenie czasopisma rosyjskiego, przystosowanego do poziomu umysłowego chłopca.

Przedstawiciel Rosjan grodzieńskich z zadowoleniem stwierdził obecność na zjeździe dwóch delegatów wiejskich z Nowogródzczyzny i pocieszał się nadzieją, że jest to być może pierwszy etap pracy rosyjskiej w masach. W tym kierunku radził też zserodkować energję.

wotne usposobienie radykalnie. W pierwszych latach po swem zamążpójściu za Aleksandra była powszechnie uważana za kobietę dobrego serca, przywiązaną do swego męża i przybranej ojczyzny i usilnie broniła męża w listach do ojca. Teraz się zmieniła. Iwan, grożąc swej córce niebłogosławieństwem Bożem i przekleństwem ojcowiskiem, potrafił rozbudzić w niej skrajny egoizm. W chwili śmierci męża czuła się już całkiem obcą dla Rzeczypospolitej. Z biegiem lat stała się chciwą na pieniądze. Liczba skrzyń Heleny pełnych kosztowności, a zdeponowanych u bernardynów w Wilnie z kilku urosła do czterestu.

Darząc dziwnem zaufaniem łacińskich bernardynów, a nie prawosławnych czerńców św. Bazylego W. u św. Trójcy lub u św. Ducha w Wilnie, Helena dokonywała czasem kontroli depozytu swych skarbów, interesując się czy wszystkie skrzynie są na miejscu, a pieczęcie na nich nietknięte. Gdy taki podskarbi Heleny przyjeżdżał na kontrolę, musiał wprzód się wylegitymować przed gwardjanem, a na odjeździe dać pokwitowanie.

Po pewnem zaciszu, sprawa Heleny znowu

nabrała niejakiego rozgłosu. Właśnie do przebywającego w Wilnie Zygmunta I zjawilo się całkiem nieoczekiwane poselstwo moskiewskie, które na posłuchaniu u króla roztoczyło żale, że królowa Helena, mimo swego wdowieństwa i spokojnego przebywania w Bielsku, wciąż jest nagabywana o przejście na obrządek łaciński i doznaje rzekomo wielu przesładowań z powodu swego greckiego wyznania.

Wasyłowi chodziło tu przede wszystkim o *casus belli* z Polską, którą w Moskwie z wielkim nakładem szykowano. Król Zygmunt na zarzuty moskiewskie odpowiedział stanowczo, że nikt już od szeregu lat nie myśli o nawróceniu Heleny i nikt podobnego zlecenia z kół miarodajnych nie otrzymał. W końcu posłuchania poseł moskiewski prosił o pozwolenie odwiedzenia w drodze powrotnej Heleny, na co król chętnie przyzwolił. Rychło poselstwo udało się w drogę.

(D. C. N.).

Delegat z Dubna oświadczył dosłownie: „Zasądniczy brak w naszej działalności, to—odejście od mas i ograniczenie się do szczupłego koła inteligencji. W ten sposób nie dojdziemy do pozytywnych wyników, ani do uznania. Należy stanąć frontem do wsi”. Poczem wzywał posła staroobrzędowca do interwencji w sprawie zatargów ukraińsko-rosyjskich w prawostawnej cerkwi w Równem.

„Więć pragnie dostępnego jej rosyjskiego słowa drukowanego”—wołał przedstawiciel z... Baranowicz. „Należy ożywić działalność rosyjską na Łemkowszczyźnie”—twierdził inny zjazdowicz. Oto nuta dominująca w ciągu trwania Zjazdu. Dla całości obrazu nie można pominąć zachowania się głównego przedstawiciela Rosjan wileńskich. Prezes T-wa Rosyjskiego w Wilnie w przeciwieństwie do innych uczestników zachowywał się niezmiernie powściągliwie i skromnie, a swą lojalność posunął do tego stopnia, że uważał za wskazane przypomnieć obecnym, iż nazwę „Wilna” nadali naszemu miastu okupanci rosyjscy. Prawdziwa nazwa powinna brzmieć „Wilno”.

Czy przed wiekami stolica W. Ks. Litewskiego miała końcówkę „o”—należy to mocno wątpić. Nie ulega wątpliwości natomiast, że rządy rosyjskie podkreślając końcówkę „a” kierowały się bynajmniej nie względami ścisłości historycznej. Ale czy wypadało wytykać to właśnie Rosjaninowi na zjeździe rosyjskim? Ścierały się więc na Zjeździe dwa sprzeczne prądy: z jednej strony zachłanność rosyjska starej daty, z drugiej niesmaczna wprost służalczość.

Nie da się pominąć jeszcze jeden sensacyjny szczegół: w zjeździe wziął udział b. senator białoruski, a obecnie wiceprezes Białor. Komit. Narodowego, p. W. Bohdanowicz, który wygłosił życzliwe przemówienie i zajął miejsce w prezydium jako jego honorowy członek! Natura ciągnie wilka do lasu—przychodzi na myśl znane przysłowie.

Jakkolwiek przedstawiciele narodu niegdyś panującego w naszym kraju w żadnym wypadku nie mogą rościć pretensji do tych praw co Białorusini i Litwini, lub Ukraińcy w Galicji Wschodniej, nikt jednak Rosjanom nie może brać za złe, gdy właścicielami drogami walczą o poprawę swego bytu w granicach państwa polskiego. Jest to ich prawem i narodowym obowiązkiem. Jeżeli jednak grupa czołowej inteligencji rosyjskiej lub pseudorosyjskiej, przy cichem błogosławieństwie „właśc. imuszczych”, mobilizuje swe siły przeciwko aspiracjom autochtonów kraju—jest to bezwątpienia krok fałszywy, mogący w przyszłości, zamiast jakichkolwiek zdobyczy, przynieść szereg przykrych niespodzianek.

Alboruthenus.

Sowieckie cementowanie „jedynej i niepodzielnej” Rosji.

Jaknajgorsze dla Białorusinów wieści dochożą z Mińska. Osoby, które przed paru tygodniami opuściły stolicę Białorusi Sowieckiej, nie szczędzą jaknajczarniejszych barw w stosunku do życia politycznego i ekonomicznego za kordonem wschodnim. Wprawdzie Mińsk został solidnie rozbudowany, pojawiły się gmachy reprezentacyjne, jezdnie klinikowe; od kilku lat, chociaż dość kulawo, ale kursują tramwaje elektryczne. Zewnętrznie dużo zmieniło się na lepsze. Widoczna jest pieczę rządu sowiec-

kiego o wygląd miasta, leżącego na najruchliwszym szlaku, pomiędzy stolicą ZSSR a Zachodem. Nie można też pominąć milczeniem olbrzymich zdobyczy kulturalnych, mających swój wyraz przede wszystkim w rozbudowie szkolnictwa. Wszystko to jednak nie może radować obserwatora Białorusina z tej strony granicy. Nie raduje i przytłaczająca większość społeczeństwa białoruskiego w granicach ZSSR. Jakkolwiek duży się deklamowało o tych zdobyczach, błędną one wobec prawdziwego pogromu czołowej i zasłużonej inteligencji białoruskiej.

Według relacji przybyłych z Mińska osób, ongiś wymienieni jako więźniowie, skazani przez sądy polskie, Dworczanin, Rak-Michajłowski, Hawrylik, Wołoszyn, Miotła i Bursewicz zostali skazani na 10 lat więzienia i zesłani na wyspy Sołowieckie. Rodzinom ich zakazany został pobyt w Mińsku. Syna b. posła Rak-Michajłowskiego usunięto z uniwersytetu w Mińsku natychmiast po zaarrestowaniu ojca. Inni Białorusini, którzy nie mogli pogodzić się z istniejącym u nas stanem rzeczy i wyjechali do BSSR, zostali obecnie rozproszeni przymusowo po najdalszych zakątkach Związku Sowieckiego. B. posłowie Kochanowicz i Baran podobno zostali rozstrzelani. Wołyniec zaś w więzieniu zmarł jako chory psychicznie. Wbrew istniejącemu już zwyczajowi, wymieniony na Alechnowicza B. Taraszkiewicz nie tylko nie był w Mińsku honorowany, lecz zabroniono mu nawet wyjść z pociągu po przybyciu do stolicy BSSR. O jego przejeździe „znać” nie wielono. Według jednych wersji znajduje się obecnie Taraszkiewicz w centrum Rosji, gdzie udzielono mu posadę.. administratora kolchozu. Według innych, zaangażowano go do pisania prac o charakterze propagandowym. Prześladowanie Białorusinów podejrzanych o nacjonalizm lub demokratyzm odnosi się w niemniejszym stopniu do wybitnych jednostek oddawna w BSSR zamieszkałych. Tak na przykład znany pedagog białoruski, autor szeregu prac naukowych i członek Białoruskiej Akademii Umiejętności, Niekraszewicz oddawna znajduje się w więzieniu, gdzie za przykładem prof. Ihnatowskiego i innych usiłował popełnić samobójstwo.

Nic nie słyszeli wspomniani uciekinierzy z Mińska o losie b. posła Karuzy. Rosyjska prasa emigrancka podała wiadomość o jego „zlikwidowaniu” przez G. P. U. powołując się na pewną sowiecką broszurę, poświęconą zwalczaniu wpływów Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji. Piszący te słowa miał możliwość zapoznać się z tą broszurą, treść której wyraźnie przeczy wiadomościom podanym w prasie rosyjskiej. Z broszury wynika tylko, że Karuza istotnie wpadł w sieci G. P. U. i jest oskarżony o próby przeniknięcia do partii komunistycznej w celach antybolszewickich.

Z powodu tych wprost niewiarogodnych wieści z Mińska, nasuwają się rozmaite refleksje nad przychylną prześladowań sowieckich.

„Spisek białoruski”, o którym czasem pisze prasa sowiecka jest oczywiście niedorzecznym wymysłem. Jest to już zbyt stary kawał. Wątpić też należy, czy nacjonalizm lub demokratyzm sam w sobie jest przyczyną prześladowania. Odnosi się wrażenie, że tym pojęciom w ZSSR nadaje się dziś inną treść, niż dawniej. Osobnik zwany tam „nacedem” nie jest tolerowany nie dlatego, że pragnie zachować i rozwijać swój język i kulturę narodową, lub brać udział w życiu społecznym na podstawach demokratycznych. Wszak i Lenin piszący o honorze narodu ro-

syjskiego był na swój sposób nacjonalistą. Nacjonalizm i demokracizm należy dziś rozumieć jako najdalej idący separatyzm ukraiński i białoruski w Sowietach. On to w myśl zarzuconych dziś przez rząd sowiecki hasel o prawie narodów do samookreślenia się, nie wyłączając zupełnego odłączenia się, (wplot' do oddzielenia) coraz wyraziściej mówi o niepodległości państw białoruskiego i ukraińskiego, a tem samym, w rozumieniu polityków sowieckich, godzi nietylko w centralizm i silną władzę Kremla, ale wprost w egzystencję władzy sowieckiej. Wyłamanie się z pod władzy sowieckiej, lub nawet tylko z pod centralizmu moskiewskiego stanowi niebezpieczny precedens dla narodów zespólnych z sowiecką republiką i byłoby przegrzywką do rozpadu całkowitego imperjum sowieckiego.

Jakkolwiek sytuacja na gruncie międzynarodowym przedstawia się dla Sowietów wcale pomyślnie, nie przestają jednak one straszyć swoich obywateli interwencją państw kapitalistycznych i, co za tem idzie zbroić się, trzymać obywatela w stanie nieprzerwanej trwogi przed zamachem na jego życie ze strony sąsiadów. W takiej atmosferze nie do zniesienia można trzymać w karchach społeczeństwo tylko w warunkach bezwzględnej dyktatury, centralizacji, unifikacji. Separatyzm białoruski a szczególnie jego starszy brat całkiem dojrzały wiekiem separatyzm ukraiński, przedstawia widocznie dla władców Kremla najbliższe niebezpieczeństwo pod mianem „nacedemowszczyzny”. Oto geneza prześladowań Białorusinów w Sowietach, prześladowań, które są tylko słabym odbiciem stosunków na Ukrainie Sowieckiej, skąd Białorusini niewątpliwie czerpią natchnienie i wskazania na przyszłość.

Nie potrzeba dodawać, że tego rodzaju stosunki narodowościowe nie odbiegają zbyt od wzorów w innych państwach Europy. Zasadniczem podobieństwem jest oczywiście papierowa zasada o pełnej możliwości rozwoju mniejszości narodowych, gdy tymczasem w praktyce, pod różnymi pozorami i nazwami, dąży się do eksterminacji, a w najlepszym wypadku do asymilacji na rzecz narodu państwowego. Do prób asymilacji wielkorosyjskiej Białorusinów i Ukraińców polityka sowiecka przyszła może najpóźniej, zato swoim „udarnickiem” tempem śpieszy odrobić zaległości. Nie ulega wątpliwości, że to się nie uda. Jest już zapóźno. Wsteczna, przeciwrozwojowa polityka musi wywołać skutki nie idące po linii zamiarów dyktatorskich i jeszcze bardziej wzmocni idee niepodległościowe.

Powrót do starego sposobu cementowania narodów w Sowietach nie pozostanie bez echa i z tej strony granicy. To, co z wielkim trudem bolszewicy zdołali zaszczerpić na Białorusi Zachodniej, dzisiaj jednym zamachem przekreślili: sowietofilska orientacja załamała się pośród Białorusinów na całej linii.

S—icz.

Dysertacja doktorska o kulcie obrazu N. M. B. Ostrobramskiej.

Jako tom VI serji *Studja teologiczne* w Wilnie wyszła w miesiącu ubiegłym praca ks. dr. T. Sieczki, który w tytule swej rozprawy, zapowiada przedstawienie kultu obrazu ostrobramskiego w *dziejowym rozwoju*. Zadanie naprawdę nęcące, ale czy wykonalne? Dziś, gdy jeszcze nie mamy historii samego

obrazu od jego początków, gdy tyle spornych kwestyj wiąże się z jego powstaniem i posiadaniem i czeka na bezstronne rozwiązanie... Wobec tych kwestyj—dzieje kultu, to już rzecz wtórna i wprost od nich zależna. Dlatego temat rozprawy uważamy za *przedwczesny* w historjopisarstwie Wilna. Zwłaszcza gdy autor szumnie dodaje w tytule *w dziejowym rozwoju*, w samej zaś pracy faktycznie kreśli tylko historję kultu obrazu ostrobramskiego *od czasu, jak wizerunek znalazł się w ręku Karmelitów Bosych*... Zbyt szerokie zakreślenie tematu wzięło w ten sposób odwet na samej pracy, naruszając korelację między zapowiedzią a jej wykonaniem.

Jeśli chodzi o przedmowę do dysertacji, to odrazu zbyt mocno autor uzależnia siebie od nieprzekraczających pod każdym względem miary przeciętnej publikacji na zajmujący go temat. Jak cała praca wymownie świadczy, taka np. *Relacya*, zamiast być raczej bodźcem do odszukania gdzieindziej maximum nowego materiału, staje się sama w sobie u ks. Sieczki przedmiotem studjum osobnego. Zato uznanie bezwątpe należy się ks. doktorowi za wcale pokaźną listę źródeł rękopiśmiennych. Są też niebylejakie *omissiones*, bez uwzględnienia których nie da się napisać ani pełnej historii obrazu naszego, ani kompletnych dziejów jego kultu. Tak jedno, jak drugie wymagałoby badań archiwalnych w monasterach św. Ducha i św. Trójcy w Wilnie, a bodaj jeszcze bardziej poszukiwań w archiwach papieskich w Rzymie, gdzie są dotyczące litewskich i białoruskich bazylianów przeróżne akta, a w tej liczbie odtwarzające długoletni spór bazylianów świętotrojeckich w Wilnie z karmelitami przy Ostrejbramie o prawo posiadania obrazu ostrobramskiego. A może sporu o ten obiekt zgola nie było i cała sprawa jest złośliwym wymysłem wileńskich łowajskich? Wtedy trzeba to raz wreszcie dokumentnie udowodnić. Żadną miarą nie jest to taka sobie *inutilis quaestio, quae solvitur silentio*. Dopóki sprawy tej źródłowo się nie rozwiąże, nasze historjownictwo o Ostrejbramie naprzód się nie posunie, a prace w rodzaju ks. Sieczki pozostaną na poziomie przyczynkarstwa.

Wśród druków znowu autor nie podał bardzo treściwego opisu dziejów Bosaków przy Ostrejbramie pióra o. Jana Kantego, który zamieszczony był przed paru laty w *Głosie Karmelu*. Pisząc o Ostrejbramie, należało uwzględnić tendencyjne, lecz niemniej źródłowe monografie *Wileńskij Świato-Duchow monastyr'* Fl. Smirnowa i *Wileńskij Świato-Troickij monastyr'* W. Szczerbickiego. Ścisły badacz nie powinien pomijać nawet książek F. Dobriańskiego, A. Winogradowa, A. Turcewicza i in.

Jeśli wymienieni historycy rosyjscy byli niedwuznacznie tendencyjni, to sprawiedliwość nam każe stwierdzić, że nie byli też wcale wolni od tendencji—tylko biegunowo od tamtych odmiennie—karmelici ostrobramscy, oczywiście zainteresowani w tem, by sobie *bez reszty* przypisać powstanie kultu obrazu M. B. Ostrobramskiej, a sam wizerunek przedstawić jako dotychczas niejako *bezpański*. Całkowity brak zainteresowania w tej sprawie dyzuntów, co na miejscu dzisiejszego kościoła ostrobramskiego mieli swe posiadłości, i unickich bazylianów, którzy też bezpośrednio z Ostrąbramą sąsiedowali, jest nie do uwierzenia tak historycznie, jak psychologicznie.

Przyszły historyk Ostrejbramy, który będzie już mógł pokusić się o danie całokształtu jej dziejów,

będzie musiał również przedstawić genezę językoznawczą samej nazwy tego miejsca. Nikt nie będzie negował, że, jak mówi ks. S., osiedlenie się Bosaków przy Ostrejbramie było dla kultu punktem *zwrotnym*, ale już sam ten termin świadczy, że obraz miał też dzieje poprzednie, jako termin *a quo* zwrot ten nastąpił. Otóż te dzieje początkowe, ten okres przedkarmelicki, zawsze będzie szczególnie ciekawym dla każdego badacza przeszłości naszego kraju. A że już przed karmelitami, obraz powyższy odbierał w Wilnie cześć od przechodniów i to wcale szeroką... to nie ulega wątpliwości.

Bardzo niejasno przedstawia się sprawa przekazania przez magistrat wileński opieki nad obrazem Bosakom ostrobramskim. Polegać na danych, zawartych w *Relacji*, zwłaszcza jeśli chodzi o ustalenie daty—nie sposób.

Dla prawidłowej oceny intensywności momentu nadprzyrodzonego w dziejach obrazu ostrobramskiego, tj. łask tu doznanych i cudów zdziałanych, rzeczą jest naczelnej wagi źródłowe wyjaśnienie, dlaczego zaszczytu koronacji obraz świętomichalski M. B. w Wilnie dostąpił o całe dwa wieki wcześniej, niż tak rozgłosny a lepiej sytuowany, bo przy najruchliwszej arterji ruchu miejskiego, ostrobramski. Nie wyjaśnia tego i ks. Sieczko.

Teraz drobniejsze uwagi co do treści i tekstu samej rozprawy. Grafomańska elukubracja Gabrijeli z Güntherów Puzyniny nie zasługiwała na przedruk in extenso. Ścisłość wymagałaby restaurację fragmenta ostrobramskiego z kaplicą przez śp. ks. Frąckiewiczza nazwać *niefortunną*, co już niejako stanowi tu smutną tradycję. W cytatach są źle odczytane a niedorzecznie brzmiące wyrazy np. *scalinali* zam. *scabinati*, *Auszpurnowego* zam. *Auszpurkiego*...

Kto podjął się pracowitego zadania pisania dysertacji doktorskiej, niewątpliwie i sam stawia sobie zadania wygórowane, i innym na toż względem siebie pozwala. Cenimy duży wysiłek ks. Sieczki, cieszymy się z wydobycia przezeń na światło dzienne każdego szczegółu nieznanego i życzymy mu dalszej a owocnej pracy na tem polu. Nie możemy atoli pominąć na końcu jeszcze jednej uwagi, która się przy lekturze *passim* nasuwa. *Ne misceantur sacra profanis*. Rozprawy doktorskie na uniwersytecie, nie powinny wysługiwać się nikomu i być jawnie zabarwiane tu i owdzie wyraźną tendencją polityczną, zwłaszcza tak sprzeczną z uniwersalizmem katolickim.

Fid.

Zmarnowany wysiłek.

Znany Wilnu artysta śpiewak p. Adam Ludwig wpadł na dobry pomysł. Zorganizował niedawno niewielki zespół chórny, złożony z ludzi, pod względem materiału głosowego i ogólnego umuzykalnienia, całkiem odpowiednich. Najbliższym zadaniem chóru było wypełnienie zawstydzającej Wilno luki—braku koncertów symfonicznych na otwartym powietrzu. Inowacją niezmiernie ciekawą było też uwzględnienie upodobań i potrzeb wszystkich mieszkańców Wilna bez różnicy narodowości. W tym celu chór posiadał w swoim repertuarze pieśni w języku polskim, białoruskim, litewskim, żydowskim, ukraińskim i rosyjskim.

W pierwszy dzień tych występów w Parku Sportowym, dyrygent w specjalnej prelekcji zaza-

czył, że chodzi mu między innymi o to, by uwzględnić charakter narodowościowy kraju. Należy przypuszczać, że ta wielojęzyczność miała decydować o większej frekwencji publiczności. Niestety nadzieje organizatorów zawiodły. Mimo odpowiedniej pogody, jak w pierwszym dniu, tak i w dniach następnych, siedzące miejsca przed estradą świeciły pustkami. Tylko 25 groszowe bilety wejściowe miały jakieś wzięcie. Ponieważ były w programie i pieśni żydowskie, nic dziwnego że pośród słuchaczy dał się zaobserwować znaczny odsetek najmuzykalniejszych Wilnian — Żydów. Trudno ustalić czy był to wypadek tylko, czy zorganizowana akcja endecka, dość tego, że na jednym z koncertów jacyś chuligani napadli na Żydów i ich poturbowali. To oczywiście musiało zadecydować o frekwencji publiczności żydowskiej na dalszych koncertach. Koniec końców impreza upadła: koncerty wokalne w parku sportowym zlikwidowano, a nieużytkowana koncha, przeznaczona na koncerty letnie, stanowi smutne świadectwo kultury Wilna. Niema komu słuchać... zresztą nawet najlepsze zespoły, jak np. występ lotewskiego chóru w Wilnie nie wzbudził zainteresowania.

Powracając do zespołu p. Ludwiga, chciałbym zauważyć, iż dyrygent zbyt się pośpieszył ze zlikwidowaniem swoich ciekawych występów. Nie można tak od razu zrażać się. Trzeba było najpierw dać się bardziej zapoznać szerokiej publiczności przez dłuższy czas występowania choćby z mniejszym powodzeniem. Znaną bowiem jest niechęć ludzi do niektórych inowacji, aż czas i umiejętnie spreparowana opinia nie dokonają swego. Ważną rolę tu powinna byłaby odegrać prasa codzienna. Niestety prasa wileńska, która rozwodzi się szeroko nad każdym ogłupiającym filmem amerykańskim, a jej redaktorzy w sezonie ogórkowym łamią głowę na tem, czem zapełnić olbrzymie szpalty, prasa ta wysiłku człowieka nad podniesieniem kultury muzycznej Wilna prosto nie zauważyła. *Widz.*

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

Dnia 20 czerwca r. b. ukazały się jednocześnie: w „Kurjerze Wileńskim” fragment opowiadań ks. W. Dejnisa, a w „Słowie” wywiad z ks. Dejnsem. W obu artykułach niesłusznie zaznaczono, że b. więzień solowiecki ks. W. Dejniss jest Polakiem, przyczem według „Słowa” wywodzi się w *trzecim pokoleniu z rodziny lotewskiej*. Tymczasem ks. W. Dejniss, odwołując się d. 17 czerwca, oświadczył w dłuższej rozmowie, że jest *Litwinem*, lecz pracując przez lat kilkadziesiąt poza Litwą, prawie zapomniał już mowę litewską, czego oczywiście żałuje, bo to mu utrudnia dziś bliższy kontakt ze społeczeństwem litewskim. Nic ostatecznie w tem dziwnego. Urodził się na Łotwie, uczył się w seminarjum duchownym w Petersburgu, gdzie litewskiego języka nie uczono wcale, a cały czas pracował w głębi Rosji. Że nie wyprowadza się znowu z Lotyszów, mówi o tem już nazwisko.

W jednym ze wspomnianych artykułów powiedzianem było nadto, że katolicyzm w Estonji ma charakter wyłącznie niemiecki. Istotnie, tak było doniedawna, dziś jednak już jest inaczej. Od lat kilku istnieje już młodzież katolicyzmu estońskiego. W kościołach katolickich Estonji głoszone są kazania estońskie, rozbrzmiewają estońskie pieśni kościelne, ogłoszono drukiem w języku estońskim katechizm, pieśni, zbiorek modlitw, wydaje się estońskie piśmko dla katolików i t. d. Księża i zakonnice nauczyli się lub uczą się jeszcze języka estońskiego. Ponadto istnieje w Estonji pewna ilość gr. katolików, bądź z Estończyków, bądź z Rosjan, obsługiwana przez kapłanów i zakonnice tegoż obrządku.

Proszę przyjąć etc.

Piotr Kantryba.

